

Mateusz Matyszkowicz: O dobrym i złym antyklerykalizmie

Żyjemy w kraju, w którym posługiwanie się narzędziami klerykalnymi i antyklerykalnymi należy do podstawowego repozytorium władców rzeczywistości



Żyjemy w kraju, w którym posługiwanie się narzędziami klerykalnymi i antyklerykalnymi należy do podstawowego repozytorium władców rzeczywistości

Czy Polska jest krajem antyklerykalnym? Czy tendencje do dyskryminowania i piętnowania osób duchownych są dominującym elementem w życiu publicznym? Nie. Żyjemy w kraju, w którym posługiwanie się narzędziami klerykalnymi i antyklerykalnymi należy do podstawowego repozytorium władców rzeczywistości.

W III RP nie ma dobrego ludu i złych księży. Świat dzielony jest na księży dobrych i złych. A ostatnio coraz częściej na dobrego papieża i zły kler. „*Gdy papież Franciszek mówi o Kościele ubogim, to naszych niektórych hierarchów krew zalewa, że coś będzie trzeba zmienić*” – mówił ks. Lemański w Radiu Zet.

Zasada, zgodnie z którą siły polityczne i główne nurty ideologiczne mają swój kler i posługują się nim w walce, pozwala z pewnością wpływać na rzeczywistość. Przecież i antyklerykalna ponoć „Gazeta Wyborcza” ma swoich ulubionych księży i swoich biskupów, ma nawet swoją rubrykę okołoreligijną, ma swoją publicystkę, która zarzuca polskiemu episkopatowi, że sprzeniewierza się katolickiej nauce w zakresie bioetyki. Ulubieni księża mogą liczyć na czołówkę. Ulubieni proboszczowie – na żarliwą obronę.

Niektórym wolno więcej

Kiedy przyszło do referendum unijnego, to chwalono polski Kościół za umiar i popieranie właściwej linii. Istniało wręcz bardzo silne oczekiwanie, że hierarchia kościelna będzie się włączała w podejmowanie przez Polaków decyzji, która miała charakter przede wszystkim polityczny.

To nie wszystko. Kto powiedział: „*Unia Wolności nie jest partią, która szuka idei, ale ideą, która szuka partii*”? Ks. Józef Tischner, wielki autorytet dla elit lat 90. Ksiądz, który wystąpił w spocie reklamowym KLD i zasiadał w radzie politycznej UW. To prawda, nieczytany dokładnie przez swoich akolitów, o wiele bardziej od nich patriotyczny, z silnym przywiązaniem do idei narodu, ale jednak. Ksiądz, którego polityczne zaangażowanie nie raziło. Który nie był nazywany agentem Watykanu, myślącym porządek duchowy ze świeckim. Jemu było wolno.

Podobnie jak wolno było hierarchom popierać Unię Europejską. Można było pojednanie polsko-niemieckie przeprowadzić w czasie mszy świętej w Krzyżowej. Można też rozplęwać się w zachwycie nad wspólną deklaracją polskiego Kościoła i rosyjskiej Cerkwi i nad kościelną aktywnością wokół Wołynia. Można też było słuchać autorytetu abp. Józefa Życińskiego, jego słowami obrzucać ciemnych katolików, innymi biskupami zaś gardzić.

Jednym bowiem wolno, innym nie. Jedni księża idą po linii politycznej, inni od niej odstają. Nie jest to więc antyklerykalizm jako taki, ale antyklerykalizm selektywny. Co by się stało, gdyby środowiska konsekwentnie antyklerykalne rzuciły się na pamięć o ks. Tischnerze i abp. Życińskim? Czy wtedy też zyskiwałyby aprobatę głównego nurtu? Gdyby potępiły poparcie dla pojednania z Niemcami i wstąpienia do UE?

Dym kadzidła i złote ołtarze

Wbrew pozorom nie chodzi tu tylko o linię ideologiczną. Przecież abp Życiński formułował ostre sądy o ustawie aborcyjnej. Tischner zaś odwoływał się do romantycznej tradycji, która większości liberalnych środowisk jest obca, jeśli nie wręcz głęboko wstrętna. Przywołanie w 2010 r. – kiedy to na Krakowskim Przedmieściu próbowano podważyć jakiegokolwiek przywiązanie do tożsamości narodowej i religijnej – Tischnerowskich tekstów sprzed lat musiałyby być wstrząsem dla obecnej tam wesołej swołoczy. Gdyby wziąć teksty wspomnianych kapłanów, w których określali swoje stanowiska na tematy zasadnicze, i oddzielić je od ich politycznych i towarzyskich postaw, okazałyby się, że za nic nie pasują do wizerunku, który stworzono na potrzeby mało rozgarniętych intelektualnie wyznawców „Gazety Wyborczej”.

Byli jednak potrzebni, bo w przynajmniej kilku kwestiach, bynajmniej niezwiązanych bezpośrednio z nauką Kościoła, zajmowali stanowisko takie, jakiego oczekiwano. W latach 90. (a w wypadku abp. Życińskiego także po 2005 r.) to była przede wszystkim lustracja. Ich niechęć do niej dawała ówczesnym władcom rzeczywistości to, czego bardzo potrzebowali – moralną i duchową legitymację własnego stanowiska. Podobnie było w wypadku Unii.

Pozostaje tylko pytanie, dlaczego owe środowiska tak łakną duchowej legitymacji. Skoro nie tylko nie uznają nauczania Kościoła, lecz nawet nie chcą, by jakiegokolwiek jego elementy uzyskiwały polityczną formę, dlaczego tak bardzo łakną wsparcia duchowego ramienia świeckiego państwa?

Pierwszy powód jest prosty i cyniczny. Skoro większość Polaków w pewien sposób identyfikuje się z Kościołem, to „swój” ksiądz jest użyteczny, jak za komuny użyteczni byli księża patrioci. Po drugie, właśnie księża przydają się w rozbijaniu autorytetu Kościoła. Ale trzeci problem jest bardziej złożony i wymagałby znacznie szerszego omówienia. Zlaicyzowane elity, mimo deklarowanej niechęci do politycznej religii, bardzo potrzebują sakralizacji porządku politycznego, który tworzą. Im też potrzebny jest dym kadzidła i złote ołtarze. Intuicyjnie lgną do transcendentnej legitymacji własnych rządów.

Nowy porządek

Sprawa z ks. Wojciechem Lemańskim to kolejny etap sakralizowania nowego porządku. Tym razem chodzi o sprawy bioetyczne. Taktyka jest tu dość szczególna, bo ks. Lemański żadnym zwolennikiem *in vitro* nie jest i mówi to wyraźnie. Dystansuje się jedynie do języka dokumentów bioetycznych Kościoła, a jeszcze bardziej do ich medialnej oprawy. Sam

nie przebiera w słowach, w których krytykuje hierarchów, w tym autora stanowiska episkopatu w tej sprawie, a zarazem swojego biskupa, czyli abp. Henryka Hosera. Do kobiety poczętej w wyniku *in vitro* pisze list, w którym daje jej nadzieję, że abp Hoser kiedyś przejdzie na emeryturę. Przykłada rękę do tego, że na biskupa warszawsko-praskiego wylewany jest w mediach kubeł pomyj, i to na podstawie nieweryfikowalnych zarzutów. Najpierw insynuacje, że może chodzić o jakiś podtekst seksualny, potem – że antysemitki. Sam ks. Lemański przedstawiany jest w mediach jako święty nowych czasów, prawdziwy realizator nauczania papieskiego.

Na nic to, że nie jest jedynym katolickim duchownym, który angażuje się w dialog z judaizmem. Jest wielu innych znacznie bardziej zasłużonych i o wiele mniej konfliktowych. Na nic to wszystko, bo dzięki mocno konfrontacyjnej postawie ks. Lemański jest użyteczny w relatywizowaniu nauczania Kościoła i daje drugiej stronie to przyjemne uczucie (któż go nie lubi), że nie odeszło się tak daleko od nauczania, że wciąż jest się po stronie katolickiej ortodoksji, może nawet bardziej niż ta ciemna tłuszcza, która niczego nie rozumie.

Bo te czasy i ci ludzie naprawdę potrzebują własnych świętych i męczenników.